

LIST DO JOANNY SZCZEPKOWSKIEJ NA JEJ SZESZCZDZIESIĄTE URODZINY

Pani Joanno,

Od wielu tygodni śledzę to, co się dzieje w związku z Pani opinią o lobby gejowskim. Ton obrony osób homoseksualnych, które Pani rzekomo atakuje, zdradza taką pewnością siebie osób wypowiadających się, że budzą strach. Obrona tolerancji przekształca się w jej przeciwieństwo, skoro można Panią obrażać, nazywając homofobką, używając pojęć: judaizacja geja i holokaust oraz podsumowując (negatywnie) cały Pani dorobek artystyczny. Zaiste ciekawy przykład dialogu i kultury.

W związku z tym opiszę pewną przygodę. Wychodzę z Galerii Uffizi we Florencji. Na zewnątrz sauna, upał, którego w kamiennych murach się nie czuło, zatyka oddech. Gdy wkładam okulary przeciwsłoneczne, podchodzi wysoki mężczyzna. W ręku trzyma pęk okularów w kolorowych oprawkach, na jego przedramieniu upięte liczne zegarki. Proponuje nabycie okularów „Gucciego”, a gdy ja wskazuję na swoje, wtedy, już agresywniej, domaga się kupienia „Rolexa”. Pokazuję więc swój zegarek, grzecznie dziękuję. Niczego przecież nie potrzebuję. „Od czarnego nie kupisz? Tak? Rasistka jesteś? Czarnych z Senegalu nie lubisz?” – słyszę nad głową.

Czy to znaczy, że wszyscy geje są agresywni? Nie, nie znaczy. Znam wielu, z niektórymi się przyjaźnię od dziecka, kilku uwielbiam za wrażliwość, intelekt i inne cechy charakteru, trzech, może pięciu nie znoszę, więc omijam szerokim łukiem. Znam dwie gejowskie pary tak wspaniałe, że dałabym im własne dzieci na wychowanie, bo wywiązałyby się z tego zadania znakomicie. Dziecku bardziej przeszkadza pijana mamusia z pijanym konkubentem albo toksyczna rodzina zastępcza niż rodzice jednej płci, ale za to z rozumem i sercem. Gdy

dziecko wychowują mama i babcia albo dziadek i tata, jakoś nie słychać, by osoby tej samej płci robiły małolatowi krzywdę. Co nie znaczy, że sprawy gejów nie można wywołać.

Obserwuję Pani wypowiedzi z podziwem dla odwagi oraz uczciwości intelektualnej i tej zwykłej, ludzkiej. Przeciwwstawiała się Pani publicznie oczywistej manipulacji, której dokonano z wypowiedzią Grzegorza Małeckiego. Słuszną ze wszech miar. Powiedział on coś ważnego o meritum myślenia aktora o roli, które powinno kierować się logiką wynikającą z analizy tekstu autora, a nie zbieraniem wrażeń i asocjacji, mniej lub bardziej odległych od tematu utworu, ale obecnych w mediach, modnych książkach, filmach itp. Ponieważ kurczy się lista lektur i wspólnych przeżyć, teatr może i chyba powinien stać się miejscem, gdzie ową przestrzeń wartości można odnaleźć. Zamiast tego spotyka się skrecze mentalne, hellingerowskie ćwiczenia psychoanalizy, kognitywną antropologię czy genderowe pojmowanie ciała i... przestaje się rozumieć przedstawienia eksperymentalno-autorskie. Wychodzi się raczej oglupiać niż wzbogacać intelektualnie.

Grzegorz Małecki powiedział też kilka słów o celebryctwie, niszczącym sensowną pracę aktorów, i o tym, że w intymnym procesie budowania roli przeszkadza mu na próbach obecność obserwatorów, jakiegokolwiek wyznania ideologicznego, artystycznego i seksualnego by byli. I rozpetęła się burza o jego homofobię... Wypisz, wymaluj – od czarnego nie kupisz?!

Czekałam, że w sprawie, poruszonej przez Małeckiego i Panią, odezwie się choćby jeden z redaktorów naczelnich pism branżowych: „Dialogu”, „Teatru”, „Notatnika Teatralne-

go” czy „Didaskaliów”. To oni nadają ton refleksji o dzisiejszym teatrze, więc oczekiwałam zabrania głosu w ważnych dla środowiska sprawach, skoro w innych slychać ich doskonale. O tym, by któryś z szefów pism wziął Panią w obronę, nawet nie marzyłam. „Taka głupia to ja już nie jestem”... żeby wierzyć w rycerzy, dżentelmenów i odważnych bezinteresownie.

Manipulacja medialna w Pani sprawie nie polega tylko na tym, że zamiast merytorycznej dyskusji nad tym, co powiedział Małecki, Maciej Nowak wyciągnął jedno słowo: gej. I rozpętało się okładanie epitetami. Znacznie ważniejsze umknęło: kategorie artystyczne zostały zastąpione przez ideologiczno-polityczne, choć nazywa się to dziś poprawnością polityczną. Nagle wszyscy zrobili się bardzo polityczni, mają na każdy temat słuszne poglądy, zwłaszcza w ocenie okresu minionego, choć z komuną nie walczyli. Młodszy wiedzą, jaką książkę trzeba napisać, jak zrobić przedstawienie, by się załapać na festiwal, posady, wywiady... Choćby merytorycznie lub artystycznie ich dzieło było od sensu, garbate i kulawe. Poprawni politycznie krytycy wolą nagrodzić słusznego knota niż neutralny politycznie film, książkę, przedstawienie.

Naprawdę tak trudno zauważyć, najdelikatniej mówiąc, nadreprezentację przedstawień o homoseksualistach? W stosunku do populacji geje i lesbijki stanowią nikły procent, a proszę obliczyć, ile w ostatnich latach powstało przedstawień z wyraźnym akcentowaniem owych wątków. Wiadomo, dobry coming out lub sztuka o cierpieniach osób homoseksualnych załapie się na festiwal, bo to się ostatnio nosi, bo taka jest poprawność polityczna, bo poprawne politycznie media to zauważą, niektóre będą promowały, inne nagrodzą. Nawet gdy na ten temat ma się już niewiele ciekawego do powiedzenia (ile razy można powtarzać rzeczy oczywiste), trudno odpuścić taką szansę. Nic dziwnego, że chęta goni chwałę.

Na najlepsze przedstawienia tego nurtu, Lupy czy Warlikowskiego, chodzi elita, to raptem kilka spektakli rocznie rozrzuconych po festiwalach, halach i salach za miastem. Prze-

konują wyznawców, wystarczy popatrzeć na widownię. Nie są szeroko dostępne dla tych, którzy mogą protestować, nie zgadzać się, oburzać w małych miastach na przykład. Dla wielu widzów są to tematy już zgrane, oczywiste i niestety zastępcze. Tak jak dyskusja o aborcji czy in vitro w Sejmie. Gdy brakuje pomysłu na gospodarkę, emerytury, szkoły, służbę zdrowia, to zawsze można wyciągnąć dyżurne tematy. I od razu będzie się działo. Niewykluczone, że skoro los gejów i lesbijek stał się tak częstym tematem przedstawień teatralnych, gazety i periodyki coraz mniej miejsca poświęcają na ich opisy, bo ile można. Nad zanikiem teatru w mainstreamowych mediach z kolei ubolewa Maciej Nowak, czołowy gej w tym dyskursie, powtarzając uparcie tezę o zaniku krytyki teatralnej. A nie na przykład inną: inteligencji, którzy stanowili od zawsze tak zwany żelazny kontyngent publiczności teatralnej, opuszczają przybytki Melpomeny, zbrzydzeni prymitywizmem i głupotą przekazu „nowego teatru” oraz fatalnym poziomem wykonania. O tym, że nie odnajdują w teatrze problemów, z jakimi sami się spotykają (nie wszystkim tożsamość seksualna się chwieje), albo takich, o których sami chcą rozmawiać, bo otwierają im nowe horyzonty poznawcze, jakoś się nie mówi. Mało medialne?

Pani Joanno,

Z poruszeniem czytałam Pani tekst odrzucony przez „Gazetę Wyborczą” o patologiiach w teatrze. Opisała je Pani z punktu widzenia aktora, czującego człowieka, którego wkurzają nadużycia statusu artysty, nieelojalność wobec aktorów, teatr turystyczno-karierowy za pieniądze podatników i wiele jeszcze innych rzeczy. Wiemy dobrze, że w 1989 roku nie zmieniła się ludzka natura. Jak przed czerwcem owego roku wehikułem kariery (dla pragnących jej), pieniędzy, przydziału na mieszkanie, talonu na samochód było wpisanie się do partii tudzież kłapanie dziobem lub piórem, jak zalecała, tak i dziś miernikiem kariery nie musi być talent i uczciwość artystyczna. Szybkobieżną windą kariery bywa klub homoseksualistów albo też wyznanie politycznej poprawności, bo wpisanie się do tej czy innej partii już niekoniecznie. Zawsze byli ci,

ktorzy czują swój czas, i ci, którzy wają swój czas, a publika i wtedy, i teraz wie, co kto wart. Talent się ma albo się go nie ma. Tu się chyba zgodzimy.

To, co Pani napisała, widzę też z mojego recenzenckiego fotela. Pewien producent filmowy mawiał tak: „Dalem pięć milionów, a na ekranie widzę tylko trzy, gdzie reszta?”. Widzowie coraz częściej oglądają na scenach znacznie mniej, niż wynikałoby z rachunku ekonomicznego i cen biletów. Teatr turystyczny oglądam w wykonaniu naszych najsławniejszych reżyserów i cierpię; traktują mnie jak „głupi lud, co to kupi”. Widzę przedstawienie (próbę raczej) ewidentnie przygotowane wedle festiwalowej recepty, czasem z angielskimi napisami i, niestety, czytam zachwyty, widzę wręczane nagrody. Pisałam o tym w „Twórczości” w związku z (*A*) *Pollonią* Warlikowskiego (2009 nr 11), *T.E.O.R.E.M.A.T.–em* i *Nosferatu* Jarzyny (2009 nr 6, 2012 nr 2). Ktoś zobaczył tu „unikalny fenomen kulturowy o międzynarodowym zasięgu”? Mnie dzieła te przypominają śliwki z supermarketu; robaka się nie znajdzie, ale smaku też nie mają. I na tym polega wtórność naszego teatru, o czym Pani ładnie pisze. Teatr, co powtarzam do znudzenia, jest sprawą lokalną, a nie uniwersalną, w tym sensie, że gdy powstaje dla konkretnej społeczności, jego prawdę można zweryfikować, produkowany w celach obwoźnych – jest tak uniwersalny, gladki, bezosobowy, że martwy w powiciu.

I tu przejść można do podstawowej kwestii: jak odpowiedzialnie wydawać państwowe pieniądze. Tego niestety nie wiedzą ani urzędnicy, ani krytycy, bo się wszystko pomieszało. Mało kto już odróżnia zespół amatorów od zawodowców, każdy, kto staje przed publicznością czy kamerą, to artysta. Moda na teatr autorski, aktualny, zaangażowany społecznie sprawiła, że pojęcie teatru repertuarowego uległo atrofii. Już chyba nikt nie wie, co to za zjawisko. Teatry o stałym, wielopokoleniowym zespole aktorów i reżyserów, wystawiające dramaty wielu epok i krajów, dotowane przez państwo były bodaj największym osiągnięciem powojennego teatru. Model wymyślony przez Leona Schillera, kon-

tynuowany i urzeczywistniony przez jego uczniów, wymagał porządnej znajomości kultury, obyczaju, muzyki, literatury wielu epok, by można było odczytać zapisany w tekście dramatu świat konkretnego autora, rodzaj wrażliwości, poglądów czy ludzkiego doświadczenia. Zbiektywizowany całokształt sposobów i cech wyrażających zarówno sens, jak i kształt utworu, właściwy tylko danemu autorowi, to jego styl. A styl to człowiek.

W tak rozumianym repertuarowym teatrze nie zawsze powstawały arcydzieła, choć zdarzało się to częściej niż dziś w teatrach autorskich, których twórcy uprawiają rzeźbę w społeczeństwie, zamiast zająć się reżyserią z prawdziwego zdarzenia. W najlepszych latach, po Październiku 1956 do końca lat siedemdziesiątych, powstawały spektakle różnorodne estetycznie, wielowymiarowe – każdy autor to odrębny styl, ale też oddzielny kosmos – wymagające pełnej dyspozycji zawodowej aktorów i ich rozwoju. Teatr tego typu pełnił ważną rolę kulturotwórczą i edukacyjną, ponieważ nie był zmuszony do działań komercyjnych.

Dziś mamy niemal same teatry autorskie, eksperyment goni eksperyment, a spektakle powstają na jedno kopyto politycznej poprawności, bo reżyserzy nie muszą się już wykazywać sensowną znajomością kultury, wystarczy, że czytają gazetę i publicystyczne tezy wtryniają na scenę, a te już w dniu premiery brzmią nieświeżo. Nie powstają też wielkie role; nie ma dla nich ani miejsca, czyli dramatu, ani warunków, czyli chęci reżysera, by pokazać kogokolwiek poza sobą. Publiczność ucieka do teatrów prywatnych, gdzie eksperymentów na lekarstwo, komercji sporo, a bilety kosztują słono. Nie wiem, kto się powinien wykazać poczuciem odpowiedzialności, kategorii zapomnianej, ale zdaje się niezbędną przy wydawaniu publicznych pieniędzy na teatr. Była Pani w teatrach prowadzonych przez Erwina Axera, Kazimierza Dejmka i Zygmunta Hübnera. Dzielili ich poglądy artystyczne i polityczne, lecz łączyło poczucie odpowiedzialności. Za zespół aktorów, którym starali się zapewniać rozwój, za publiczność, bo starali się prowadzić teatr dla dorosłych, i – nie na końcu – za powierzoną im

instytucję państwową, gdzie powinien panować porządek i uczciwość, od finansów po rzemiosło artystyczne.

I chyba o tym Pani pisze z troską i bezkompromisowością, nie o gejach, którzy byli, są

i będą, jak wszyscy, częścią natury, czy się to komuś podoba czy nie.

Pozdrawiam serdecznie

Elżbieta Baniewicz